Nr. 30. 25. Września 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

ZWIERCIADŁO,

w którem obaczy każdy co chce i czego nie chce.

I.

Od łyczka do rzemyczka.

Wyczyściłem moje zwierciadło, które mi tyle ciekawych rzeczy okazać miało i postawiłem je w ten sposób, abym mógł obaczyć świat dzisiejszy i to, co się na nim dzieje. Otóż zaraz napełniło się ono takim natłokiem ludzi różnorodnych, taki gwar i krzyk powstał za niem, że ani wszystkich poznać ani ich rozumieć nie mogłem. Jedni byli w bluzach czerwonych z mieczem u boku, drudzy szeptali coś do siebie, a oczy ich błyszczały jako węgle żarzące. I spychali jedni drugich, a po nad ich głowami przeciągał jakiś wiatr ognisty i niósł na swoich barkach anioła z czarnemi skrzydłami...

— To nie są nasi, rzekłem stawiając inaczej zwierciadło, gdy nagle jakiś brodacz wyciągnął rękę, chwycił mnie za ramię, żem się ruszyć nie mógł i zawołał:

— Patrzaj na nas, choć my nie twoi i dziękuj Bogu, że się na nas uczyć możecie!

I powstał krzyk, jakiego już dawno nie słyszałem, a mnóstwo ludu wlokło z sobą jakiegoś człowieka, grożąc mu karą najsroższą.

Człowiek ten był gładki i dobrze utuczony. Twarz miał pełną, włosy czarne i ubiór przyzwoity. Zdawało się, że całe życie był zdrów i wesół, że pożywając boże dary dziękował Bogu, iż mu do szczęścia nic więcej nie brakowało. I dziwiło mnie to nie mało, dlaczego tego człowieka ta hołota prześladowała, wołając nań: zdrajca, zdrajca! — Poprosiłem więc tych ludzi, którzy go otaczali, aby pozwolili powiedzieć mu, o co go obwiniają. A że każda hołota lubi słuchać powieści, więc posiadali wszyscy na ziemi, a człowiek ów tak zaczął:

— Wytrzeszczyliście na mnie oczy jak na raroga, i krzyczycie: zdrajca! zdrajca! a nie dałbym ani niucha tabaki za to, że nie wiecie, co to zdrajca! Otóż przed śmiercią po raz pierwszy poczuwam się do obowiązku, aby wam wyjaśnić cały proceder mojej zbrodni, za którą, nie znając jej, macie mnie ukarać. Niechcę, abyście wykonali wyrok bez dokumentnego przekonania się — bo jużci wyrok dobrze zreferowany, to więcej niżeli życie człowieka! A więc słuchajcie!

Winowajca obejrzał się w koło, potarł po czuprynie i prawił dalej:

— Jest tu was spora miarka, do kilku tysięcy, krzyczycie za milion — a przecież żaden z was nie wie, zkąd się bierze ta brzydka zbrodnia, o którą mnie dzisiaj posądzacie? Czy myślicie, że każdy zdrajca tak jak murzyn rodzi się od razu czarnym? Gdzie tam! Jest on z początku biały, jak inne dzieci naszego kraju, a dopiero powoli zmienia skórę. I między wami są tacy, którym już skóra czarnieje, a gdyby byli tam, gdzie ja byłem, staliby się czarni jak smoła!

Wielu z tych, którzy najbliżej siedzieli, zakociło rękawy patrząc na skórę, czy w samej rzeczy już czernieje. Co widząc winowajca rozśmiał się i rzekł:

— Tylko dobrze patrzcie — a ujrzycie małe, czarne plamki. Otóż z tych nieznacznych plamek robi się potem jedna wielka plama, która i w serce się wciska i czerni je jak mazią.... Zazdroszczę wam, jeżli widzicie te plamki drobne, jam ich nigdy nie widział!

Opowiadający westchnął głęboko, a po chwili mówił dalej:

— Gdybym wam powiedział, żem się urodził ubogo; żem zwiędłą od głodu ssał pierś matczyną; żem odzian w łachmany wyciągał rękę do podróżnych, żebrząc o skromny datek; — gdybym wam opisał niesprawiedliwe chłosty losu, jakich niesłusznie doznałem: możebym was poruszył do litości, może zakradłszy się w serca wasze, wyrwałbym z ust waszych słowa: „Nędza przyprowadziła go do tego!“ Ale tu nie chodzi o życie człowieka — tu chodzi jak w medycynie o pewien system, lub jak w kryminale, o wyrok porządnie umotywowany. A więc do rzeczy!

Wszyscy spojrzeli po sobie, myśląc w duchu, że taka szczerość bynajmniej tu nie ma miejsca. Nie wiedzieli, że przy tej myśli skóry ich poczerniały nieco.

— Jam się urodził bogato, mówił dalej obżałowany, i miałem zawsze podostatkiem jadła i napoju. Nie pragnąłem nigdy i nie łaknąłem. Rodzice otoczyli mnie wygodą i zbytkiem, nie kazali zbyt wiele się uczyć, i o to im tylko chodziło, abym w rozmowach z innymi mógł wszystkiego powierzchownie dotknąć, a w niczem nie utonąć. Więcej dbano o moją powierzchowność. Ubierano mnie starannie, uczono mnie chodzić, siadać i kłaniać się. Wtem ostatniem zrobiłem wielkie postępy, a wszystkie kobiety ubiegały się o moje spojrzenia. Słowem nauczono mnie życia używać.

Sąsiedzi winowajcy, którzy często do takiego życia wzdychali, w którem się nie pracuje a wszystkiego używa, wzdrygnęli się teraz na te słowa i nieznacznie spojrzeli na skórę rąk swoich. A winowajca tymczasem mówił dalej:

— Kto na życie zapatruje się z tego stanowiska, aby tylko używać, ten uczynił już pierwszy krok do zbrodni. Bo odtąd już ślizka droga aż na dół.... Człowiek ten jest podobny do siedzącego na wozie, gdy tenże z góry jedzie...

Tu spojrzał winowajca w górę, jakby chciał obaczyć kawałek błękitnego nieba. Ale i tej pociechy nie doznał, bo gęste chmury, które wiatr zachodni ponapędzał, zasłaniały je. Spuściwszy więc oczy na ziemię, tak prawił dalej:

— W młodym wieku oddano mnie do szkół. Tutaj poczynają się pierwsze kroki mojego upadku. Dyrektor szkoły miał ogród publiczny, w którym rosły pyszne jabłka gruszki i brzoskwinie. Razu jednego dał mi skosztować tych owoców. Czułem, że jakaś woń i słodycz niepojęta rozchodziła się po mojem podniebieniem. Na drugi dzień przybiegłem do ogrodu i już z daleka pożerałem oczami prześliczne brzoskwinie, które oblokły się w meszek aksamitny. Co widząc dyrektor rzekł do mnie: „Smakują ci brzoskwinie, dam ci cztery, gdy mi powiesz, kto dzisiaj w szkole na mnie gałką rzucił.“ — Oblizałem się na widok brzoskwiń i wydałem mego przyjaciela, który za to sromotną odniósł karę.

Najbliżsi winowajcy zacisnęli pięści, a on uśmiechając się mówił dalej:

— To szkolne drobnostki a nic więcej. Niech to was bynajmniej nie oburza — bo ileż w waszem życiu takich na pozór drobnych jest rzeczy, które w konsekwencyi paraliżują was w najświętszych obowiązkach waszych!... Prawda, że pierwszy jęk mego kolegi, gdy karę odbierał, jakoś niemile drasnął o moje serce. Coś tam zasyczało, jakby kto rozpalone żelazo przyłożył do niego — ale to trwało chwilkę, a równocześnie przypomniała mi się owa wyborna woń omszonych brzoskwiń, które wyglądały z za parkanu ogrodu dyrektora... Nieraz potem w życiu przypomniały mi się mimowoli owe brzoskwinie, kiedy słyszałem jak rodzice lub nauczyciele namawiali dzieci do szpiegostwa i zachęcali je do sekretnych oskarżeń swoich braci i kolegów... Posłuchajcie, co się dalej ze mną stało!

Grosz.

(Ułamek).

....A w tem Skrzynecki.... lecz dosyć o głowie,
O małych palcach zapomnieć nie trzeba —
Wszyscy jesteśmy braćmi w obec nieba,
I w jedno mierzą — wojsko i wodzowie —
Bo cóż mospanie wart wódz bez żołnierza,
Jeżli ten w prawo a ten w lewo zmierza?...
Wszakże od dawna jest rzeczą nie nową,
Że małe palce idą w parze z głową....

Otóż był żołnierz prosty co się zowie,
Czyścil armatę, kasarnię zamiatał,
A gdy mu czasem musowało w głowie,
To tylko figle markietance płatał,
Lecz na komendę wytrzeźwiał od razu,
I przy armacie stał jak posąg z głazu. —

A miał armatę, nieszpetną bestyjkę —
Brzuch miała gruby, wąską długą szyjkę,
A co połknęła prochu, kul, kartaczy,
Ile plunęła przy każdej potrzebie,
Zliczyć to wszystko, to tyle co znaczy
Policzyć gwiazdy na lipcowem niebie. —

I tak ów żołnierz — (a Groszem go zwano)
Przy tej armacie spędził lat niemało
Choć do żeniaczki nieraz go zmawiano,
Choć nieraz w sercu coś mu zapukało, —
Przecież armatkę swoją tak polubił,
Że przy niej został na wiek wieków amen, —
Ją tylko kochał i z nią się zaślubił —
A że z czytania źle mu szedł egzamen,
Pozostał prostym na wiek wieków amen, —
Z czego się śmiała kompanija cała,
I jego działo Groszówką nazwała. —

Różnie bywało, jak to w wojnie bywa,
Biło się wrogów i nas także bili —
Raz chwila dobra — a raz nieszczęśliwa —
Grosz i Groszówka także różnie żyli,
Raz grzęźli we krwi, a raz grzęźli w błocie,
Lecz ani razu nie grzęźli w sromocie...

Aż dnia jednego przy szturmie Warszawy,
Coś niezwykłego Groszowi się stało —
Bo od czupryny lunął strumień krwawy,
I w oczach jakoś dziwnie pociemniało —
A gdy się zbudził w szpitalnej komnacie,
Horrende dictum — było po armacie! —

Kilka miesięcy przeleżał w szpitalu,
Wreszcie się zrosły i kości i ciało —
Ale pod sercem coś jeszcze zostało,
Co nie zgoiło ni bolu, ni żalu,
I nieraz siedząc za żelazną kratą
Płakał Grosz biedny za swoją armatą!...

W kilka lat potem, o szczudle drewnianym
Chodził Grosz stary po domach Warszawy —
I coś o dziale mruczał ukochanem,
I opowiadał, jak mu strumień krwawy....

Wtem mnóstwo ludzi na ulicy Długiej
Widzi kaleka i pyta zdziwiony —
Co się to znaczy?... A jeden i drugi
Wskazuje ręką na cerkiew i dzwony
Które ukryte tam pod złotym dachem
Dziś po raz pierwszy, ozwą się — postrachem —
Dzwony, co carską świat zapełnią sławą,
Ulane z armat, wziętych pod Warszawą! —

Gdy stary żołnierz usłyszał te słowa,
Zdawało mu się, że kraina nowa
Nagle przed jego odsłania się okiem —
Spojrzał na dzwony z westchnieniem głębokiem
I rzekł: Mój Boże! Toż moja armata
Tam w dzwon przelana głosi sławę cara —...“

Wtem jękły dzwony — głos w niebo ulata
A razem jękły jakieś piersi stare —
Uciekły tłumy, a na cerkwi progu
Żebrak o szczudle oddał ducha Bogu.

Dramat polski w ostatniem pięcioleciu.

II.

Repertoar sceny lwowskiej i krakowskiej.

Ogłoszony rocznik teatru lwowskiego podaje wykaz sztuk granych w r. 1859. Nie jest to wykaz sporządzony starannie, lepszemi bywały roczniki w latach dawniejszych, które układał *Błotnicki*, lecz i z tego sumarycznego opisu można zebrać potrzebne rysy znamionujące repertoar sceny lwowskiej.

W ciągu roku zeszłego odegrano sztuk 149, między temi było 46 oryginalnych a 103 tłumaczonych. Oryginalne więc stanowiły blisko trzecią część repertoaru.

J. Korzeniowskiego Stacya pocztowa, Majster i czeladnik, Okno na pierwszem piętrze, Doktor medycyny, Panna mężatka, Młody mąż, Fabrykant, Dwaj mężowie, Przyjaciółki, Okrężne, Podróżomania, Dymitr i Marya, Pierwej mama, Karpaccy gorale, Żydzi—czyli razem sztuk dziesięć.

Fredry Śluby panieńskie, Nikt mnie nie zna, Jowialski, Geldhab, Damy i huzary; razem pięć sztuk.

Bogusławskiego Romantyczka, Gałganiarka — *Doraua Jul.* Ciocia sekundantem — *Ilnickiej* Konopianki — *Przezdzieckiego* Halszka — *Kamińskiego* Twardowski, Szlachta czynszowa, Skalmierzanki, Zabobon.— *Anczyca* Chłopi arystokraci, Łobzowianie, Błażek opętany. — *Gregorowicza* Janek z pod Ojcowa. — *Szedlera* Przestrogi praciotuni.

Było więc wszystkiego sztuk 34 odegranych, powtarzania niektórych z tychże dopełniają cyfry 46 sztuk. — Blisko połowa były same jednoaktowe *komedye.* Zaś po raz pierwszy dawane były o ile się nie mylę: Młody mąż, Podróżomania, Konopianki, Błażek opętany, Przestrogi praciotuni, Ciocia sekundantem. — Zdawałoby się z tego, że repertoar tłumaczonych lub przerabianych sztuk był obfity i przepełniony nowemi tak, że na oryginalne nie starczyło miejsca. Bynajmniej — nie rzadko jawiły się sztuki takzwane odwieczne, lub sztuki nie godne sceny—przytoczmy niektóre z nich jak: Obiadek z Magdusią, Antoś i Antosia Wendeta, Pułkownik z roku 1769, Po północy, Łaska imperatora, Siedm dziewcząt pod bronią, Handel na żony, Biedny rybak, Ryszard lwie serce itp. — Nie przeczę, że przedstawiono kilkanaście tłumaczeń nowych i dobrych, lecz nie dosyć na tem. Repertoar nie był dobrany. Stosunek oryginalnych utworów do tłumaczeń, był nie naturalny — można go było polepszyć wykreśleniem raz na zawsze sztuk przestarzałych, a zastąpić je sztukami oryginalnemi. Nikt by na tem nie stracił, a zyskałaby na tem i publiczność i scena.

Co się tyczy sceny krakowskiej było na niej lepiej.— W Krakowie nie ogłaszali roczników scenicznych, nie ma więc na czem oprzeć rozumowań. Jednakowoż z prowadzonych starannie i użyczonych wykazów ruchu widowisk w Krakowie przez pana *Wł. K...* bierzemy następne pewne daty.

Od 9 listopada 1858 do 8 maja 1859, więc przez 6 miesięcy dano widowisk 63. Wśród tego dano sztuk oryginalnych 43, a tłumaczonych 30, między któremi 12 dwa i trzy razy powtarzano. Nowych oryginalnych nie było wiele, były one te; *Korzeniowskiego* Sąd przysięgłych, Podróżomania. — *Syrokomli* Zofia X. Słucka, Hrabia na Wądorach i dwie bezimienne drobne komedyjki.— Tłumaczeń nowych około 10 jakoto: Bracia Forster, Pociecha rodziny komedya, Chata w zaroślach kom., Dziewczyna z gór dr., Syn szatana dr., Fiamina, dr., Talizman kom.

Powtarzano oryginalne sztuki Fredry, Korzeniowskiego Anczyca, Wieniarskiego, Konratowicza, Ilnickiej, Bogusławskiego Stan., Kamińskiego, Słowackiego.

W r. 1859 było 70 widowisk od 15 listopada 1859 do 24 maja 1860, a więc przez pół roku. Drugie pół roku trupa krakowska bawiła w królestwie. Dano nierównie więcej oryginalnych sztuk. Całkiem nowe grano te:

Kraszewskiego Stare dzieje.— *Chęcińskiego* Szlachectwo duszy. — *Szymanowskiego* Michał Sędziwoj. — *Korzeniowskiego* Majątek albo imię, Stary kawaler. — *Dębickiego* Bartosz z pod Krakowa. — *Pieńkowskiego* Scenę za sceną. — *Małeckiego* List żelazny.— *Leszczyńskiego* Krakowiaków część III. — *Ładnowskiego* Berek odpieczętowany. — Razem 10 utworów scenicznych.

Podobnież pierwszy raz granych tłumaczeń było przeszło dziesięć. W ogólności odegrano sztuk oryginalnych 40 zaś tłumaczeń 45. Licząc zaś powtarzania sztuk, grano oryginalnych 54 utworów.

W obudwu tych latach przeważały znacznie oryginalne sztuki nad tłumaczeniami. Repertoar był więc staranniejszy na scenie krakowskiej niż na lwowskiej, mimo iż scena krakowska pod mniej korzystnemi warunkami rozwija się, aniżeli lwowska.

Od r. 1832 do 1834 w ciągu półtora roku dano na lwowskiej scenie nowych 55 sztuk, między temi było 8 oryginalnych. W owym czasie prócz *Fredry* nie mieliśmy pisarzy scenicznych, ten więc stosunek oryginalnych dzieł do tłumaczeń był na owe czasy bardzo pomyślny. Dzisiaj nie możemy narzekać na brak piszących, a jednak jakże mało stosunek zmienił się, jak skoro oryginalne dzieła stanowią zaledwie niespełna trzecią część całego repertoaru rocznego.

MICHAŁKO.

Epizod z wojen szwedzkich według pamiętników jenerała Gordona.

Od niewielu lat dopiero rozgłosiły się szerzej pamiętniki Patricka Gordona, które uchodząc u dziejopisów rossyjskich za jedno z najcenniejszych źródeł do historyi Rossyi w drugiej połowie szesnastego stulecia, mają i dla nas niepospolity z wielu względów interes. Autor pamiętników,

ubogi wychodźca szkocki a późniejszy rossyjski jenerał i jeden z najgłówniejszych filarów reformatorskich zabiegów Piotra Wielkiego, rozpoczął właściwie w Polsce swą awanturniczą karyerę, a przebywszy całą wojnę szwedzką za Jana Kazimierza na przemian to w polskich to w szwedzkich szeregach, zanotował wiele ciekawych szczegółów z tych czasów, a nie przywiązany szczerze ani do jednej ani do drugiej chorągwi, służący za żołd brzęczący równie ochotnie obudwu stronom, zachował zupełną bezstronność w swem opowiadaniu.

Pamiętniki jego są co do swych rozmiarów niezaprzeczenie największem dziełem, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek pojawiło się w tym rodzaju. Skrócone znacznie obejmują sześć olbrzymich tomów o kilkaset stronnic każdy, a nie stanowią jeszcze kompletu, bo zachodzi w nich podwójna kilkunastuletnia przerwa od r. 1667 do r. 1677 i od r. 1678 do r. 1684.

Pisane pierwotnie w języku angielskim spoczywały długi czas w ukryciu, aż dopiero w r. 1759 nabyte w dwóch tomach przez hrabię Aleksandra Sergejewicza Strogonowa, dostały się do użytku uczonemu historyografowi G. F. Müllerowi, który robiąc dalsze nad niemi poszukiwania, odkrył cztery tomy nowe.

W takiem uzupełnieniu służyły Pamiętniki Gordona za cenny rękopiśmienny materyał wielu historykom rossyjskim, nakoniec jednak w r. 1849 doczekały się za staraniem księcia M. A. Obolеńskiego i dr. M. C. Posselta, pierwszego kompletnego wydania w Moskwie.

Rossyjskim wydawcom chodziło o jak największe rozszerzenie dzieła, odrzucili więc przekład rossyjski i wydali je w języku niemieckim, mając zaś przeważnie materyał historyczny na względzie, wyrugowali lub skrócili znacznie wiele bardzo zapisków, które nie miały bezpośredniej styczności z historyą. Skrócenie to jednak wielką nam przyniosło szkodę, bo zatarło najpowabniejszą dla nas stronę Pamiętników.

Jak bowiem widzimy z pozostałych zmianek skróconych przebywał Gordon dłużej na dworach panów polskich nauczył się z samego obcowania z Polakami polskiego języka, a przy swej osobliwszej skrzętności w zapisywaniu najdrobniejszych widzianych lub posłyszanych zdarzeń musiał zapisać także niejeden ciekawy szczegół z owczesnego naszego życia domowego i stosunków towarzyskich.

Osobliwie opis pierwszych chwil pobytu w Polsce ściągnięty z 40 kartek oryginału do jednej przekładu, byłby dla nas pełen szczególniejszego uroku, podaje bowiem wyraźne i świetne świadectwo o staropolskiej gościnności i tej serdecznej uprzejmości, która nie pytając ani o imię ani o charakter nieznajomego przybysza z dalekich krajów zamorskich, przyjmowała go wszędzie z otwartemi ramionami, gościła i wspierała sercem wylanem.

Tym razem nie chodzi nam jednak o tę stronę pamiętników przyjaciela i doradzcy Piotra W.

W obszernym jego opisie wojny szwedzkiej udało nam się znaleźć nader zajmujący a dotąd prawie zupełnie nieznany szczegół, który z wielu względów na szersze zasługuje upowszechnienie.

Patrick Gordon daje nam w nich poznać niepospolite czyny pewnego prostego chłopa z Prus koronnych, imieniem Michałka, który przebiegłością i przykładem waleczności bez granic potrafił skupić w około siebie liczną bandę podobnych sobie junaków i na własną rękę prowadził z najezdzcami zawziętą wojnę podjazdową.

Zrosły w uprzedzeniach szlacheckich wychodźca szkocki nie tchnie wielką sympatyą dla prostego chłopa i jego towarzyszy, którym z początku nader wzgardliwe przykłada miano, wszakże wszystko to, co o nim opowiada, świadczy o niepospolitych przymiotach, a w jednym szczególnie epizodzie jest nawet pełne romantycznego uroku.

Jeżeli w dzisiejszych jeszcze czasach postępu i cywilizacyi nieśmiertelny bohater włoski, Garibaldi, mógł w urzędowych odezwach uchodzić za przewodźcę bandytów, herszta rozbójników morskich, to nie powinno zgoła zadziwiać, jeżeli w oczach szlachcica szesnastego stólecia walczącego po większej części w szeregach nieprzyjacielskich, prosty chłop na czele bandy partyzanckiej zakrawał zbyt często na prostego herszta opryszków.

Niezrażeni podobnem zapatrywaniem się szlacheckiego najemnika, które zresztą łagodniało zawsze, ilekroć szanowny wychodźca pojmany przez Polaków napowrót pod polskie zaciągnął się szeregi, spróbujemy ściśle podług jego tu owdzie rozrzuconych dat skreślić ten ciekawy epizod wojenny, w którym Michałko czynny wziął udział.

Tak bezprzykładnie niepomyślne dla nas z początku losy wojny z Karolem Gustawem X. zaczęły nagle jakby za istnem cudem Opatrzności zupełnie odmienną przybierać postać. Bohaterska obrona Częstochowy zachwiała urok szwedzkiego oręża, okrucieństwa szwedzkich żołnierzy, hardość i buta ich króla otworzyła oczy i najzaślepieńszym zwolennikom obcego protektora i ojczyzny.

Na widownią boju wystąpił nowy wódz, jeden z największych po wszystkie czasy, Stefan Czarniecki i w dwóch bezpośrednio po sobie następujących zwycięztwach pod Jarosławiem i Warką dał uczuć najezdzcom przewagę swego geniuszu.

W chwili kiedy Karol Gustaw miał już Polskę za zupełnie pokonaną, Polska właściwie rozpoczynała wojnę. Jan Kazimierz powrócił z swego tułactwa, i w łańcuckim zamku a później we Lwowie przyjmował słowy zapomnienia hetmanów i dygnitarzy, co odbiegli na razie jego sprawy, a dziś wracali gotowi do wszelkich poświęceń. Upadły na chwilę naród podźwignął się do bajecznej energii i siły.

Dalsze dzieje tego pamiętnego okresu czasu należą niezaprzeczenie do najświetniejszych chwil Polski, do najszczytniejszych mocarstw powszechnej historyi. Powalona najzupełniejszym na pozór pogromem, podniosła się nagle własną siłą ojczyzna nasza, i w jednej chwili stanęła jak lew zraniony w najświetniejszym blasku bohaterstwa. Bezsilna przed chwilą powstrzymać szybkie tryumfy i postępy szwedzkiego oręża, znalazła nagle dość siły i poświęcenia by złamać przewagę zwycięzcy, wytrzymać bunt kozacki i wojnę moskiewską a nadto świetnemi zwycięztwy opędzić się i od innych postronnych nieprzyjaciół.

Sprzymierzeniec szwedzkiego najezdzcy Rakocy przypłacał ciężko swój zdradziecki napad do Polski. Nawidzony

przez hufce Lubomirskiego w własnej ziemi a party zwycięzkim orężem Czarnieckiego zaledwie tylko obietnicą drogiego okupu mógł własną osobę uratować od sromotnej niewoli.

Od pierwszych zwycięztw Czarnieckiego pod Jarosławiem i Warką zaczęło coraz bardziej pogorszać się położenie szwedzkiego Karola, a w dalszym przebiegu wojny stawało się już otwarcie ciężkiem i przykrem. Straszny Szwedom z samego już imienia Czarniecki nie ustawał w natarczywości i dojmował srodze coraz dotkliwszemi ciosami, sprzymierzony z Karolem Gustawem elektor brandeburski stanął widocznie w przyjaźni i gorliwości, Dania wypowiadała wojnę otwartą, a cesarz Leopold zawierał przymierze z Janem Kazimierzem i słał posiłki do Polski.

Karol Gustaw musiał ze wstydem przypominać sobie swą pamiętną rozmowę z Starowolskim. Zawiodła go ta szabla, która go w tak wielką wzbiła butę i na której wsparty odrzucił niedawno z urąganiem poddawaną mu myśl, by w formalnej elekcyi kazał się obrać królem zawojowanej ziemi.

Właśnie też w tym czasie — powiada Patrick Gordon dosłownie — kiedy z jednej strony zwycięztwa Czarnieckiego i oraz większy wzrost potęgi Jana Kazimierza, a z drugiej zupełne odstrychnięcie się elektora brandeburskiego osłabiło do reszty szwedzkie siły, pojawił mu się w zapleczu w Prusiech koronnych nowy zupełnie nieprzewidziany nieprzyjaciel.

Był nim właśnie nasz Michałko, któremu to szersze chcemy poświęcić wspomnienie.

W pierwszych czasach szwedzkiego najazdu, kiedy najpróżniejsi dygnitarze i większa część szlachty zwiedziona bądź niechęcią do Jana Kazimierza, bądź chwilowem powodzeniem szwedzkiego oręża i ułudnemi obietnicami i machinacyami Karola Gustawa, garnęła się w zapomnieniu pod skrzydła nieprzyjacielskiej opieki, i nieprzyjacielskie sztandary, zaciągnął się w szeregi szwedzkie i pewien prosty chłop urodzony w Prusiech koronnych, imieniem Michałko.

Musiał on odznaczać się bądź sprytem i pojętnością nadzwyczajną, bądź walecznością bohaterską, kiedy jak mówi wyraźnie Gordon, w krótkim czasie dostąpił w armii szwedzkiej rangi kaprala.

Teraz przy doraźnej zmianie wojennych losów zbiegł nagle od swych sztandarów. Nie połączył się jednak z wojskiem polskim, ale powróciwszy w swe miejsce rodzinne potrafił skupić w około siebie tłum prostego ludu i stanął na jego czele.

— Zbiegła się pod jego rozkazy liczna tłuszcza opryszków i innego motłochu, a zuchwały zbieg rozpoczął z nią na własną rękę podjazdową wojnę z Szwedami — opowiada Gordon, służąc wówczas właśnie pod szwedzkim sztandarem.

(D. c. n.)

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Gazeta Codzienna jest, jako dziennik, bardziej ożywioną niż inne pisma warszawskie. Więcej w niej rozmaitości, korespondencye z kraju daleko są liczniejsze niż w Warszawskiej i wiadomości drobnych literackich lub towarzyskich wielka ilość.

Nie będziemy powtarzali za Codzienną tego, cośmy już jako treść najważniejszą Warszawskiej podali, mianowicie owych rozlicznych doniesień i sprawozdań o spółkach rolniczo-kupieckich w Królestwie. Nadmieniamy tylko, że nam się nierównie wyraźniej przedstawia w Codziennej Gazecie, ta skwapliwa a tak zbawienna dążność chwycenia w swoje ręce choćby jednej małej cząstki swoich własnych a wspólnych wszystkim interesów.

Wyzwolenie się od monopolu handlarzy, których nie łączy wspólność interesu z rolnikami, ale owszem przeciwnie, którzy z potrzeb rolnika ciągną korzyści, a korzyści jego uważają za stratę dla siebie: oto najbliższy cel tych spółek — obudzenie samoistności w sobie i przyuczenie się władać samym sobą, to powinno być dalszym ich celem.

Kilkanaście już istniejących Spółek rolniczo-handlowych stanowią tyleż ognisk w Królestwie, w których się skupiają na razie wszystkie siły ekonomiczne kraju: a że sił ekonomicznych skupienie i ożywienie przez to ruchu większego w rolnictwie i handlu musi wywołać także ożywienie ruchu umysłowego, to zdaje nam się rzeczą jasną. Dziś stają się zwolna dzienniki już istniejące organami tych ognisk gospodarsko-kupieckich.

„Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“ jest niejako urzędowym dziennikiem Domu rolników Płockich; wszystkie inne dzienniki warszawskie prześcigają się w śledzeniu każdego ruchu początkujących spółek rolniczo-kupieckich; nie zdziwi nas, jeżeli w krótkim czasie każdy z tych dzienników ogłosi się organem tego lub owego „Domu rolników“; nie zdziwi nas, jeżeli w skutek koniecznego znoszenia się tych spółek między sobą, z całym narodem, nareszcie i z zagranicznym światem handlowym powstaną nowe oddzielne dzienniki, poświęcone ich interesom. Te interesa zaś mają konieczny związek z życiem politycznem, i spółki nie będą mogły pozostać w nieświadomosci biegu polityki europejskiej, która tak przeważnie wpływa na sprawy handlu i rolnictwa, a wpływowi tych spraw nawzajem ulega. Widzimy, jak pojedyńcze słówka wyrzeczone u tronu lub w parlamentach, lakoniczne wiadomostki telegraficzne wstrząsają giełdami, gdzie się ważą losy bogactwa narodowego. Zajęcie się więc samoistne obywatelstwa sprawami kupieckiemi i rolniczemi wciąga to obywatelstwo zwolna i nieznacznie w ruch życia politycznego.

Ztąd więc pochodzi, że w dziennikarstwie Królestwa między sprawami krajowemi przeważają wiadomości o Spółkach rolniczo-kupieckich, ich tworzeniu się, czynnościach i postępach. Ztąd też pochodzi, że n. p. Gazeta Codzienna w korespondencyach z kraju przepełniona jest nietylko temi wiadomościami, ale oprócz tego sprawozdaniami o żniwach, monografiami miast takich, których położenie może być ważne pod względem kupieckim (jak w najnowszych numerach zamieszcza monografią miasta Wielunia), projektami rozmaitemi do polepszenia bytu. Między innemi znaleźliśmy bardzo praktyczne uwagi o stowarzyszeniach ubezpieczeń od gradobicia. Ale mniej chodzi tu o uwagi teoretyczne lub praktyczne względem użyteczności i naj-

lepszego sposobu zorganizowania takich stowarzyszeń, ważniejszym jest dla nas czyn dokonany: istnienie takich stowarzyszeń w kilkunastu powiatach Królestwa. Istnienie tych towarzystw jest bardzo dobitnem stwierdzeniem zdania: że chcącemu nie ma nic trudnego. Istnieją one *de facto* za wspólnem porozumieniem się, bez wielkiego zachodu i bez innych formalności prócz tych, które są potrzebne, aby zapewnić fundusz na zapomogę dla poszkodowanych; stoją dobrą wolą i dobrą wiarą.

Mamy także bardzo ważne wiadomości o stanie banków hypotecznych istniejących w krajach zabranych i o wierzytelnościach banków rossyjskich, jakiemi są obciążone tamtejsze dobra.— Doliczmy do tych mnogich sprawozdań i zdań o stanie rolnictwa, przemysłu, kupiectwa i kredytu jeszcze bardzo szczegółowy opis wystawy gospodarsko-przemysłowej w Lublinie, a będziemy mieli dokładny obraz tamtejszego życia publicznego, które się ogranicza wprawdzie na sprawy materyalne, lecz nie jest bynajmniej uspione w innych względach.

Uderzające jest także zjawisko w księztwie Poznańskiem, że na tak małą w stosunku do nas krainę istnieją tam dwa towarzystwa gospodarskie oprócz spółki Bazarowej, Tow. przyjaciół nauk itd.

Wszystko to zawiera się w korespondencyach z kraju. Korespondencye stanowią główną i najważniejszą treść dzienników warszawskich, gdyż rozprawiać dziennikom niewolno o polityce swego własnego kraju. Korespondencye zagraniczne za to obfitują w treść polityczną, jednakże i te ograniczać się muszą bardziej na opisywaniu faktów, wystawianie zwrotów i odcieni opinii powszechnej w krajach z których pochodzą, a mało co się wdają w objawienie zdania korespondentów własnego. Ztad zapewne pochodzi, że korespondent zagraniczny podaje często zamiast politycznych wiadomości, rozbiory ważniejszych dzieł i pnblicystycznych broszur.

Do rzędu tych zagranicznych korespondencyi należą zamieszczane od niejakiego czasu korespondencye redaktora J. I. Kraszewskiego z podróży.

Ciekawe jest zapatrywanie naszego tak płodnego powieściopisarza na pożycie towarzyskie, literackie i artystyczne krajów, po których podróżuje. Zaczyna Kraszewski od Wrocławia. Zastanawia on się nad wynarodowieniem tak miasta samego, jak Szlązka w ogóle, przynajmniej co do cech zewnętrznych i przypisuje to głównie temu, że tam przemysł fabryczny górę wziął nad rolnictwem.

„Naturalnie, pisze Kraszewski, nadaje to krajowi jakąś cechę niemiecką, bo naszym żywiołem jest zagon i rola a gospodarstwo, jak germańskim fabryka i rzemiosło. Nie trzeba jednak wnosić, by gospodarstwo zostało tu zaniedbanem, i owszem, stoi ono na stopniu widocznie daleko wyższym niż u nas, ale jest wcale innego rodzaju. Większa własność, znamionująca wieś naszą, ustąpiła miejsca rozdrobnionej i nowy charakter nadającej krajowi. Powoli coraz więcej spotykamy chatek drewnianych i murowanych domów porządnych, do których kawałek ziemi starannie wyrobionej przypiera; widzimy nareszcie, że i najuboższa skiba z całą usilnością, na jaką człowiek zdobyć się może, jest uprawioną. Piękniejszą może i poetyczniejszą jest wieś nasza, bo w Szlązku przy najlepszych chęciach, z tych norymberskich zabawek o czerwonych dachach, trudno coś zrobić pejzażyście, ale ludzie, którzy wychodzą z tych domków tak goło stojących na nieżyznej ziemi, lepiej wyglądają jak nasi... Niemiecki typ i charakter niemiecki pochłonęły co tu było słowiańskiego... I smutek cię ogarnia, zawsze ten sam smutek, z którym zarosły zagon żegnałeś rodzinny, który powieziesz z sobą wszędzie, bo wszędzie porównanie przypomni ci ten uroczy kraj, żałobny, zatęschniony, szary, a tak kochany... porzucony za sobą...“

Od tego rzewnego porównania przechodzi podróżny do innych zjawisk, a jako literat zwraca oczywiście najpierwej uwagę na książki.

I cóż się przedstawia? Przyjechał w niedzielę, wszystko odpoczywa, bawi się, wszystko pozamykane, tylko.... księgarnia jest u k r a d k i e m otworzona, (jak u nas sklepy korzenne dla tych, co chcą niedzielny poranek przegwarzyć przy szklance albo kieliszku) nęcąca mnóstwem nowości łakomych tytułami, świeżych, jak wczoraj zerwane owoce.“

Tu znowu pogląda autor, który piśmiennictwo nasze zbogacił może więcej niż setką tomów swego pióra, z niezadowoleniem czy z obawą na ogromną obfitość broszur, które według niego zagrażają i dziennikarstwu i książkowej literaturze. „Widocznie broszura, są słowa Kraszewskiego, ma podstępny zamiar: zabić dziennikarstwo, które zdaje się posiłkować. Urodziła się ona z dziennika, będąc z razu jego przedrukiem, dziś ojcu i dobrodziejowi odbiera czytelników i tysiącami się sprzedaje.... Broszura oddziaływa przeciw zbyt już rozmazującej się literaturze wielotomowej, musi być zwięzłą i treściwą; a ludzie coraz mniej mają do czytania czasu, tych kart kilkanaście są właśnie tem, czego im potrzeba. *Caveant Consules*, wyraźnie broszura grozi wszystkim, i w świstkach się skupia.“

Pozwolimy sobie sprzeciwić się w niektórych względach szanownemu koryfeuszowi tomowej literatury. Wiemy przedewszystkiem, że broszura odgrywała ważną rolę w życiu publicznem jeszcze wtedy, gdy o dziennikarstwie mowy nie było. Gdziekolwiek się obudzał większy ruch polityczny, gdzie było życie publiczne, jak w Polsce, Anglii, i t. d. tam broszura bywała w czasach, gdy dzienniki jeszcze nie istniały, jedynym organem opinii. Możeby słuszniej nazwać można dziennikarstwo dzieckiem broszurowej literatury niż przeciwnie. Gdy już za mało było ludziom przemawiać we większych czasu odstępach za pomocą broszur w sprawach publicznych, gdy życie narodów coraz szybszem zaczęło bić trętnem, wtedy powstała potrzeba zastąpienia broszury dziennikiem, albo raczej postawienia dziennika obok broszury.

Obawa, że broszura zagraża dziennikarstwu, zdaje nam się zupełnie płonną, zawsze dziennik jest świeższym niż broszura, która nie jest przedrukiem z dziennika, ale raczej mieści w sobie to, co za nadto jest obszerne lub za mało ulotne by się mieścić w dzienniku. Co zaś się tycze obawy, jakoby broszura miała przyćmić tomową literaturę, to tylko o tyle możemy przyznać słuszności wielce szanownemu twórcy tylu arcydzieł tomowych, o ile czasy większego ruchu politycznego, czasy gorąciejsze w ogóle usuwają w głąb pracę poważną, ściśle umiejętną. lub za-

ciszną i samotności szukającą pracę poety czyli w ogóle pisarza dzieł nadobnych.

Broszura jest dzieckiem gorącej krwi, pisze się wśród zgiełku sporów politycznych, na dymiącem zgliszczu pożarów wojennych, w obec grzmiących dział i szczęku oręża — ale gdy zgiełk ucichnie, nastąpi w jednem miejscu grobowa cisza zniszczenia, gdzie indziej spokój zasyconego zwycięztwem tryumfu, tam znowu broszura ustępuje miejca elegii lub dityrambowi, poważnej uprawie nauk i sztuk, a dziennikarstwo pozostaje zawsze, jak było mostem łączącym zacisze domowe ze zgiełkliwą targowicą codziennego życia publicznego.

Dowodzą tego same listy Kraszewskiego z podróży. Tak słuszny sędzia i znawca w rzeczach sztuki, piśmiennictwa nadobnego i naukowego znajduje dziś zaledwie chwilę na to, by mimochodem prawie oglądnąć Muzeum w Berlinie, a za to zapełnia swe listy nader ciekawemi uwagami o broszurach politycznych najnowszych.

Czy owe wielkie i wspaniałe dziedziny pracy duchowej przestały już zajmować tego, który się żali na nawał broszur? Nie, pewnie. Ale zajęcie poważne, które trwałe owoce dla ducha przynosi, pozostawia on czasom spokojniejszym, a dziś zajmuje się tym niezbyt może powabnym kwiatem chwilowej wybujałości życia politycznego, bo kwiat ten jutro zwiędnie, a pojutrze porzucony i zapomniany skieruje umysły ku pomnikowym płodom niespożytej pracy artystycznej albo umiejętnej. Jak malowane abstrakcye szkoły Korneliusa lub wielkością najważniejszych chwil w dziejach rodzaju ludzkiego natchnione majestatyczne freski Kaulbacha przetrwają malowaną satyrę Kladderadatscha, i będą więcej zajmowały publiczność, gdy Kladderadatschowi zamknie się źródło satyry politycznej przez uporządkowanie spraw europejskich; tak i książki wielotomowe wyjdą na jaw, gdy broszurze wątku nie stanie, gdy staną jedne całe Włochy, skończy się sprawa wschodnia i t. d. Może to zapewne potrwać i pół wieku, ale i w tym pół wieku nastąpią pauzy krótsze lub dłuższe, jak była pauza dziesięcioletnia blizko między wielkim ruchem politycznym, który był jakoby prologiem do dziś odgrywanego dramatu politycznego, a dzisiejszemi katastrofami.

We wiadomości artystyczne i literackie obfituje, jakeśmy powiedzieli, Gazeta Codzienna.

Korespondencye z prowincyi donoszą wiele o teatrze Pfeiffra, który jeździ po różnych miastach królestwa ku wielkiemu zadowoleniu publiczności a zapewne i własnemu. Zé świata literackiego przytaczamy to, co nie wchodzi w obręb rubryki ściśle bibliograficznej. Mianowicie nie bez przyczyny podnosi Gazeta Codzienna, że Maurycy Wolff, czynny ale okropnie drogi wydawca petersburski, zaczyna teraz tanie książki nakładać. Zachwala gazeta jego Bibliotekę Zaściankową, której pierwsze tomy obejmują niezbędne w każdem zbiorowem wydawnictwie Pamiętniki Paska, oprócz tego zapomniane już prawie a niezasługujące na tak stanowczą niepamięć Przygody Dodosińskiego i Pamiętniki Seglasa. Ma dalej wydać pana Podstolego i Doświadczyńskiego, Opowiadania nieboszczyka Pantofla i t. d. Zamierza także wydać Bibliotekę nauk przyrodniczych, w której mają być umieszczane przekłady najsławniejszych dzieł Humboldta, Szlejdena i t. d. Wielka tego u nas potrzeba. Szczególnie w naukach ścisłych najwięcej jest u nas do zwalczenia obczyzny i do wywalczenia dla naszego własnego języka, którego niezmierna i głęboka logiczność dopiero w ścisłych naukach w całej świetności swojej się okazuje. Nie możemy przy tej sposobności pominąć wzmianki o Janie Śniadeckim zamieszczonej właśnie w Gazecie Codziennej. Jan Śniadecki przeżył się już był wtedy, gdy występował przeciwko filozofii niemieckiej, i ta filozofia się przeżyła, ale pozostały w pamięci obok wielkich owoców tych dwóch przeciwnych sobie potęg, dwie niezatarte dotąd cechy obudwóch: jasność i przezroczystość wykładu Śniadeckiego, a zawiły i mętny styl filozofii niemieckiej jako dwa sprzeczne przykłady, z których pierwszy naśladować, drugiego unikać mają potomne pokolenia. Dzisiejsi autorowie niemieccy w naukach przyrodniczych, szczególnie Humboldt i Schlejden, są dla Niemców wzorami stylu naukowego; umieli oni ożenić urok najpiękniejszej wymowy i poezyi ze ścisłością nauki. My mamy nie tak nęcący barwnością, ale jasnością wykładu nieprzewyższony dotąd wzór w Janie Śniadeckim.

Pochlebną dla nas a oraz ważną jest wiadomość, że dom handlowy Strugowszczyka i Pisorewskiego w Petersburgu chcą zebrać seryę dzieł polskich, traktujących o gospodarstwie i przełożyć je na język rossyjski. Zauważano, że najwłaściwiej dla Rosyi będzie korzystać z doświadczenia polskich agronomów, prace więc Chłapowskiego, Oczapowskiego, Połujańskiego i innych mają wejść w te przekłady. Obyżto staliśmy się nauczycielami pobratymczych narodów i pod innemi względami! — Potrochę zaczynają się i Niemcy zajmować naszą literaturą. W pruskich dziennikach są rozbiory najnowszych lirycznych utworów polskich (podług tłumaczeń niemieckich), lecz wcale nie z taką sumiennością, jak to czynią pisma francuzkie (Revue Contemporaine). Pochodzi to ztąd, że do pism francuzkich piszą Polacy sami o swojej literaturze.

Coś podobnego pojawia się teraz od czasu do czasu w Magazin f. d. Literatur des Auslandes, któremu p. Ziemięcka dostarcza artykułów o filozofach naszych. Dawniej pisała o Józefie Gołuchowskim, teraz o Józefie Kremerze.

Gdy mówimy o udziale naszego narodu w ruchu literackim i naukowym europejskim, tedy godzi się nadmienić że (pomijając znaną już wiadomość o wyprawie p. Prażmowskiego z Warszawy do Hiszpanii na zebranie astronomów czyniących tam spostrzeżenia nad zaćmieniem słońca) obecnie zaproszono znowu p. Lesińskiego z Warszawy na kongres chemików w Karlsruhe, a na kongres statystyków europejskich pojedzie także zapewne jaki delegat polski.

Bitwa pod Płowcami,

27 września 1331 r.

Przygnieciony sędziwym wiekiem umyślał Łokietek wprawić jeszcze za życia swego następcę i syna Kazimierza w rządy, w jakim też celu oddał mu pod zarząd Wiel-

kopolskę, którą podówczas sprawował wojewoda poznański, Wincenty z Szamotuł. Gwałtowny ten panek rozgorzał srogim gniewem na ten czyn królewski, i poprzysiągł krwawą zemstę. Najsilniejszym środkiem do jej wykonania zdali się zawsze Polsce wrodzy Krzyżacy, którzy też nadmiar chętnie przyjęli Wincentego, niosącego obietnicę poddania im całej Wielkopolski. Wkrótce napadli ją krzyżacy i zburzyli większą część kraju. Ale niebyło to jeszcze zadość mściwemu gniewowi pana z Szamotuł. Toż niebawem powtórzono napad tak licznie i srodze, że król Łokietek, przybyły Wielkopolsce na odsiecz nie mógł się dla zbyt małej liczby wojska swego odważyć na stanowczą bitwę. Przyszło użyć jedynego jeszcze środka, t. j. ugłaskać dzikiego zdrajcę. Wysłano więc do Wincentego tajne poselstwo od króla, niosące zupełne przebaczenie za popełnione zbrodnie, łaskę królewską i serdeczną przestrogę. Ujęty dobrocią króla przybył Wincenty równie potajemnie do niego, przeprosił go i oświecił o prawdziwym stanie wojsk krzyżackich. Według tego należało czem prędzej stoczyć bitwę, tembardziej gdy Wincenty obiecał przejść na stronę Polską. Powróciwszy do obozu krzyżackiego zachęcał on także krzyżaków gorąco do stanowczej rozprawy, a tak obustronnie podżegnione wojska stanęły przed rankiem 27 września na szerokiej równinie pod Płowcami w obec siebie.

Ranek był nadzwyczaj mglisty. Dopiero o poźnej godzinie przedarły się promienie słońca na ziemię i ukazały wojsku polskiemu silne zastępy krzyżackie. Ale niemniej groźna chęć zemsty za tylokrotne bezprawia ogarnęła rycerzy polskich. Wnet więc skoczyły hufce królewskie na nieprzyjaciół. Krzyżacy pewni, że Łokietek starannie będzie unikał bitwy, zmieszali się żwawem natarciem polskich hufców. Lecz nierównie większe zamieszanie przyniosło im odstępstwo Wincentego z Szamotuł. Dotrzymał on dane przyrzeczenie i uderzył z tyłu na hufce nieprzyjacielskie. Wkrótce rozstrzygnął się los bitwy. Polacy otoczyli miejsce boju i sprawili srogą rzeź. Prócz poległych wzięto jeszcze wielką moc jeńców, pięćdziesięciu samych co najznakomitszych, między tymi głównego wodza Dytryka z Altenberga i wielu komturów. „Co to za wojownicy? — zapytał Łokietek nadjeżdżając po bitwie ku tłumowi jeńców krzyżackich. Niemcy — odpowiedziano. Śmierć im! — krzyknął starzec królewski.“ I nie dziw tak wrogiemu wyrokowi, gdyż bylito najsroższi gnębiciele polskiej krwi, obciążeni nieskończoną liczbą prawdziwie barbarzyńskich bezprawiów.

Następnego dnia objeżdżał ośmdziesięcioletni zwycięzca pole bitwy. Mnóstwo trupów i rannych zalegało je. Najbardziej jednak uderzył oczy królewskie srodze poraniony wojownik polski, imieniem Floryan Szary. Trzy włócznie tkwiące w nim rozdarły cały żywot i jelita wypływały zeń. Ujrzawszy go król, począł żałować rycerza. „Nietyle to boli, co zły sąsiad w tej samej wiosce.“ Ulitował się Łokietek, kazał go opatrzyć, a wyzdrowionemu przydał do herbu Koźle rogi trzy włócznie i miano Jelita, a nawet według podania odkupił mu część złego sąsiada, iżby spokoju po trudach zażywał. Smutniejsza jest historya Wincentego z Szamotuł. Przebaczyła mu dobroć królewska - ale nie przebaczył naród. Wkrótce rozsiekali go na zjeździe właśni jego ziemianie. „Dopomagający do zwycięztwa zdrajca“ — powiada autor odrodzenia się Polski — „okazał się mniej godnym współczucia niż nieprzyjaciel otwarty, z którym przyszło walczyć do śmierci. Przejednany pod Płowcami odstępca zginął od własnych braci, a polegli tamże krzyżacy zostali uczczeni żałobną na długie czasy pamięcią. W pośrodku mogił ofiar krzyżackich wzniosła się piękna, przez biskupa kujawskiego zbudowana kaplica, brzmiąca przez długie czasy modłami za duszne w niebie zbawienie tych nieprzyjaciół, którzy swoją śmiercią na ziemi zbudowali Polsce tak świetną podstawę przyszłej wielkości.“

B. K.

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1. października 1860 r. zacznie wychodzić pod redakcyą odpowiedzialną K. J. Turowskiego

„NIEWIASTA,“

Pismo tygodniowe, poświęcone Płci pięknej.

Pieniądze prenumeracyjne należy przysyłać *franco* pod adresą:

Redakcya »Niewiasty« przy ulicy św. Jana l. 302 w Krakowie.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie 7 zł. 20 kr., półrocznie 3 zł. 60 kr., kwartalnie 1 zł. 50 kr., miesięcznie 50 kr. w. a.

W miejscu:

Rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 kr., miesięcznie 50 kr. w. a.

Mody paryskie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku 4 zł. 20 kr. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. Na same mody prenumerata nie przyjmuje się.

W Krakowie d. 29. sierpnia 1860 r.

Od redakcyi.

☞ **Z tym numerem kończy się przedpłata dla tych abonentów, którzy do końca września zaprenumerowali. — Nowi abonenci, którzy na pół roku abonują, otrzymają cały poprzedni kwartał bezpłatnie za dołączeniem pocztowego 15 centów. Abonenci zaś całoroczni za dołączeniem pocztowego 30 cent. otrzymają oba kwartały. Uprasza się jednak o wczesne nadesłanie prenumeraty, gdyż cały zapas „Kółka rodzinnego“ wynosi tylko 100 exemplarzy.**

Z dzisiejszym numerem rozsyłamy trzynasty i czternasty. arkusz powieści CZARNY MATWIJ.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.